

Witt Knuetowicz

MUSZYŃSKIE DOMY, KTÓRYCH JUŻ NIE MA

Muszyńskie domy, w których kiedyś tętniło życie, a z których wiele dziś patrzy na nas już tylko ze starych, pożółkłych fotografii... Domy, w ścianach których działa się „historia rodzin”. Tu cieszone się każdym nowym życiem, smucono odejściem kogoś bliskiego. Tutaj zawsze z radością witano gościa. Tu rozgrywały się dramaty, komedie i farsy — codzienne sprawy muszyńskich mieszczan. Wśród ścian tych domów zanoszono do Boga modlitwy. Modlitwy dziękczynienia za dobre dni, prośby o wielkie i małe sprawy oraz prześlągania za grzechy i upadki. Były te domy dorobkiem nieraz kilku pokoleń. Stanowiły całą fortunę niejednej rodziny.

Dziś relikty, które przetrwały — stare domy przy ulicy Kościelnej, Piłsudskiego, Ogrodowej, czy gdzieś Zazamczyskiem, Zapopradem — stanowią jakby pomost między dawną Muszyną i jej dziejami, a terażniejszością, czasem współczesnym. Świadczą o ciągłości trwania jej mieszkańców, skłaniają do zadumy nad biegiem czasu, przemijaniem i historią.

Jak więc wyglądał taki muszyński dom?

Niestety, obiekty na których możemy opierać nasz opis, nie są starsze niż XIX-wieczne, ale można mniemać, że powtarzają one wiele cech właściwych dla wcześniejszych okresów. Skupimy naszą uwagę na ulicy Kościelnej i jej zabudowie, bowiem ona szczególnie zachowała swój dawny charakter. Pisaliśmy już o tym w *Almanachach Muszyny* (AM 1992, s. 10 i AM 1993, s. 38), ale nie zaszkodzi paru szczegółów przypomnieć Czytelnikowi. Ciąg elewacji ulicy Kościelnej odznacza się jednolitością. Fasady murowane i bielone posiadają charakterystyczne półkoliste bramy wjazdowe. W rzeczywistości za murowanymi fasadami kryją się drewniane domy o tradycyjnym układzie.

Typowy mieszczkański dom znajdował analogię w szeregu rolniczych miasteczek na Podkarpaciu. Takie charakterystyczne układy urbanistyczne zachowały się też na Słowacji, nie tylko w bezpośrednim sąsiedztwie Muszyny. Dom stał zawsze zwrócony szczytową ścianą do ulicy. W ścianie frontowej szeroka półkolista brama prowadziła do wnętrza. Uzupełnieniem frontonu były dwa okna. Z szerokiej sieni, przez którą można było swobodnie przejechać furą pełną siana, pierwsze drzwi prowadziły do pokoju. W sieni przeważnie był komin, a przy nim palenisko, gdzie na żelaznych trójnogach stawiano większe baniaki, w których gotowano lub grzano wodę na domowe potrzeby. Przy wyjściu z sieni na podwórze znajdowały się drzwi do kuchni (piekarni) i małego alkierzyka, który miał połączenie z pokojem.

Wnętrze domu urządzone było z prostotą. W pokoju pod główną ścianą stała kanapa, przed nią stół otoczony drewnianymi krzesłami, lub raczej stołkami z oparciem. Przy bocznych ścianach ustawiano drewniane łóżka, szafę i skrzynie. Sprzęt domowy malowany był na jeden kolor, zwykle zielony lub błękitny. Na

ścianach wisiały obrazy święte umajone czatyną i kolorowymi wstążkami lub kwiatami z bibuły. W kuchni główne miejsce zajmował piec, tzw. „szparchet”, zbudowany z płaskich rzecznych kamyków, obrzucony gliną i obielony. Pod ścianą stał stół, ławy i skrzynie. Obok pieca znajdował się „rum” (rom) — szafka bez drzwi na naczynia i garnki. Na romie leżały drewniane dzieżki na rozczynianie chleba. Na ławie przy piecu stały drewniane wiadra i konwie na wodę.

W kuchni przeważnie nie było podłogi z desek. Tu wystarczyło klepisko; w nim, gdzieś pod ścianą, była jama na ziemniaki i jarzyny, do której po zdjęciu pokrywy schodziło się zwykle po drabince. Natomiast w pokoju podłoga z nie malowanych desek musiała być obowiązkowo „szurowana” („czochrana”) co sobotę.

Obok kuchni znajdowała się komora, niewielkie pomieszczenie, gdzie chowano i składano co się dało. Była to przeważnie swojego rodzaju rupieciarnia. W niej było wszystko: od przyodziewku, poprzez żywność, do różnego rodzaju drobnego sprzętu gospodarczego, a nawet rolniczego.

Raz w roku, przeważnie przed Wielkanocą, bielono wapnem ściany domów — wewnątrz i na zewnątrz. Na oknach, tak w kuchni, jak i w pokoju, stały kwiaty w doniczkach. Były to przeważnie rozmaryny, geranium, „żelazne liście” oraz lipki.

Powały układane były z heblowanych desek, dobrze ze sobą spasowanych, wspartych na tragarzach. W środkowy tragarz wbity był hak, na którym w czasie Bożego Narodzenia wieszano „wiszkę”, czyli drzewko bożonarodzeniowe. Obok haka strugano datę budowy domu, a często i nazwisko budowniczego.

Domy sąsiadów nie stykały się ze sobą ścianami. Dzielił je obowiązkowo „międzuch”, gdzie znajdowało się miejsce na składowanie skorup z potłuczonych naczyń. Wierzono, że wyrzucenie takich skorup na śmietnik ściągnie na dom i jego domowników nieszczęście: choroby, pożar, czy nawet śmierć kogoś bliskiego. Rynny dachów były drewniane, a tak umocowane, by spadający w zimie śnieg nie mógł ich zerwać, a woda z deszczów odprowadzana była skutecznie.

Z sieni domu drugie wyjście, naprzeciw bramy wjazdowej, prowadziło na podwórze, gdzie na wprost stała stodoła. Do niej prowadziły duże wrota, a w nich małe drzwi na codzienny użytek. Stodoła rozgraniczona była na trzy części. Główną część stanowiło „boisko”, na którym w jesienne dni młócono cepami zboże. Nad boiskiem znajdował się „pójd”, czyli strych, gdzie składano ziarno. Po jednej stronie boiska był tzw. „przyczółek”, służący najpierw na skład nie omłóconego zboża, a po omłotach — słomy. Z drugiej strony boiska znajdowała się stajnia (obora). Do niej wchodziło się zarówno z boiska, jak i z podwórza. Do stajni przylegał zwykle „gnojnik”, nad którym stała „wygódka” — ubicacja dla użytku osobistego domowników. Zazwyczaj do stajni dobudowany był „chliwek”, gdzie trzymano trzodę, a nad nim kurnik, do którego prowadziła drabina z deski i szczebelków nadbitych na niej. Na podwórzu (podwórku) trzymano wozy, „ostrwie” i inny sprzęt rolniczy. Za stajnią i stodołą ciągnął się „ogródek zatylni”. Przy ulicy Kościelnej ogródki zatylnie kończyły się na kamieńcu nad Muszynką, lub, z drugiej strony ulicy, opierały się o tzw. „Łąki” u podnóży Malnika.

W jednym z takich nie istniejących już domów, przy ulicy Kościelnej 29, urodził się 6 września 1887 r. **WŁADYSŁAW ANTONI BĘBYNEK**, syn Józefa i Marii z Krynickich, których ślub odbył się w muszyńskim kościele w 1885 roku. Ojciec

Władysława, nim jeszcze przybył do Muszyny, był ck żandarmem w różnych miasteczkach Galicji (Mszana Dolna, Krynica, Piwniczna). Kiedy już awansował na komendanta posterunku w Muszynie, postanowił tu ożenić się i osiedlić na stałe.



Dom Bębynków. Stan z 1958 roku. Dom rozebrano wiosną 1964 roku.

(fot. Adam Czamowski)

Młody Władysław nie odznaczał się bynajmniej celującymi wynikami w nauce. Wprawdzie klasę II nowosądeckiego Gimnazjum w roku 1900/01 ukończył z postępem bardzo dobrym, uzyskując z geografii i historii najwyższe oceny (celujące), a z „pilności” stopień „wytrwały”, ale ... klasę VI powtarzał, gdyż prof. Augustyn Lambor w rubryce z matematyki wpisał ocenę „niedostateczny”. W klasie VII i VIII Władysław wykazywał nadal bardzo duże zainteresowanie geografiami i historią. Po złożeniu egzaminu dojrzałości w 1908 roku studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim właśnie te swoje ulubione dziedziny wiedzy. Po odbyciu studiów w latach 1914-1916 ogłosił na łamach „Przewodnika Naukowego i Literackiego” (Rok XLII) swą pracę naukową pt. „Starostwo muszyńskie własność biskupstwa krakowskiego”, która na owe czasy była znakomitą i poczytną monografią tego nadpopradzkiego miasteczka. Młody autor (27 lat) wykorzystał do jej napisania znane podówczas źródła historyczne, zarówno drukowane, jak i rękopiśmiennicze. Oczywiście w tej pionierskiej pracy o przeszłości rodzinnego miasta znalazły się pewne błędy i nieścisłości, niemniej jednak jeszcze dziś jego monografia jest pożyteczna i przydatna w pracy naukowej historyków Sądecczyzny. Jest rzadkością na księgarskim rynku.

Po ukończeniu studiów Władysław uczył w Państwowej Szkole Realnej w Rawie Ruskiej. Tu został kuratorem skautingu szkolnego i prefektem bursy dla uczniów.

Wykładał język polski, geografię, historię, przyrodę i nadobowiązkowo język łaciński. W Rawie Ruskiej zastał go wybuch II wojny światowej. Tam też w 1941 zginęła jego żona, Maria z Latawców, a niedługo później — 21 października 1941 roku — na zapalenie płuc zmarł Władysław.

Władysław Bębynek umiał być wdzięcznym synem Muszyny. Jako pierwszy rozślawił ją swym piórem, a z jego pracy korzysta kolejne pokolenie. Napisał ktoś, że jego życiorys ma herb muszyński w tle — i miał rację.

W latach osiemdziesiątych XIX wieku, kiedy linia kolejowa połączyła Muszynę z Krakowem i Lwowem z jednej strony, a z drugiej z Budapesztem i Wiedniem, a Krynica przeżywała swój pierwszy rozkwit, na wprost dworca kolejowego w Muszynie, nad samym brzegiem Popradu, został wybudowany nowoczesny hotel — pensjonat o nazwie „**ZORZA**”. Tu można było zanoć, tanio zjeść, wypocząć po lub przed podróżą. Mieściło się tutaj Towarzystwo Kassynowe, które być może było właścicielem budynku. Ono to starało się uatrakcyjnić czas kuracjom i letnikom, którzy oczekiwali na pociąg.



Hotel — pensjonat „Zorza”; pocztówka z 1906 roku (ze zbiorów *Almanachu Muszyny*).

Hotel — pensjonat liczył 7 pokoi 2-sobowych i 2 pokoje 3-osobowe, miał świetlicę — hol, jadalnię i restaurację. Mógł przyjąć na nocleg 20-22 osoby. Wydawał około 100 obiadów w trzech zestawach, oprócz tego specjalne posiłki dla wyznawców religii

mojżeszowej. Doba hotelowa z wyżywieniem kosztowała 2 korony 70 halerzy, a 14-dniowy pobyt 31-33 koron.

Przed „Zorzą” był znacznych rozmiarów plac, gdzie urzędowali muszyńscy fiakrzy. W czasach, kiedy nie było jeszcze linii kolejowej do Krynicy, a uzdrowisko to cieszyło się już znaczną popularnością, z Muszyny trzeba było udać się dalej zaprzęgiem konnym. Stąd też w świetlicy zawsze można było spotkać i nająć fiakra, czy to do Krynicy, czy do Żegiestowa — za jedyne 1,5 korony.

Z chwilą wybudowania linii kolejowej Muszyna - Krynica w 1911 roku, hotel „Zorza” zaczął podupadać. Niewielu gości wysiadało z pociągu, by odpocząć w hotelowych pokojach, czy też skorzystać z pensjonatowego wyżywienia. Plac przed dworcem opustoszał, bo fiakrowie stali się zbędni. Opustoszała i „Zorza”. Wykupił ją Chaim Weiss i rozbudował pensjonatową restaurację. Jeszcze w latach dwudziestych „Restauracja u Weissa” jako tako prosperowała.

W czasie wielkiej powodzi w 1934 roku Poprad zalał i zamulił hotel oraz jego otoczenie, a zniszczenia były tak duże, że po opadnięciu wód okazało się, iż budynek nie nadaje się do remontu. Został rozebrany wiosną 1935 roku i dzisiaj — poza starym zdjęciem — niema po nim śladu. (Informacje o pokojach i cenach w hotelu — pensjonacie „Zorza” podaję za pismem poświęconym sprawom polskich zdrojowisk: *Krynica* Nr 1 z 2 maja 1886 roku).

Poczesne miejsce w starej Muszynie, tak pod względem topograficznym, jak i społecznym, zajmował **RATUSZ**. Stał on mniej więcej w miejscu dzisiejszych plant, na których znajduje się kapliczka św. Floriana. Pierwsze wzmianki o ratuszu w Muszynie znajdujemy w ordynacjach biskupich. Otóż ratusz wzmiankowany jest w roku 1617, a w roku 1647 biskup Gembicki pisze w swej ordynacji:

„Ciąż mieszczankowie nasi suplikowaliprośbę wnosząc przed komisarzów naszych do nas, abyśmy im ratusz stary przenieść pozwolili na piwnice nasze murowane w rynku i to im pozwalamy dla...ozdoby... miasteczka...aby na tych piwnicach naszych które my dla win sprowadzenia wolne sobie zostawiamy, ratusz ze sklepami wybudowali sobie, w którym by schowanie swoje mieć mogli woźni sądów publicznych i pożytek z kramów...”

Gdzie stał stary ratusz, o którego przeniesienie na Rynek zabiegali mieszczanie — dziś trudno powiedzieć. Jedno jest pewne — stary ratusz rozebrano, a na piwnicach biskupich wzniesiono nowy, nie murowany (jak życzył sobie biskup), ale drewniany. Wnet się okazało, że w ratuszu znalazło się miejsce na Wielki Sąd Kreski, który już 30 sierpnia 1647 roku pod przewodnictwem starosty Bedlińskiego, w towarzystwie szlachcica Olszewskiego, właściciela dworu w Siarach, rozpatrywał gardłową sprawę Mikulaczka, oskarżonego o kradzieże i rozboje. Tak więc ratusz był siedzibą sądu, a w jego podziemiach — obok piwnic z biskupim winem — były komnaty tortur dla zbójców i czarownic.

Ciekawe, że ratusz na Rynku nie zajmował centralnego miejsca — wynikało to być może z faktu, że musiał stać na biskupich piwnicach, które zajmowały zachodnią część Rynku.

W roku 1763 wybuchł w mieście spór o ratusz. Starosta Idzi Fihauser po pożarze Muszyny wiosną 1763 roku, którego pastwą padł także ratusz, odbudował go latem i jesienią, a potem przywłaszczył, podporządkowując dworowi. Ponieważ ulokował w nim karczmę, która przynosiła znaczny dochód, mieszkańcy wnieśli skargę do biskupa Sołtyka, iż ratusz miastu należny nie może być wyłączną własnością starosty. Biskup sprawę rozeznał i przyrzekł zwrócić ratusz miastu, lecz starosta mimo nakazu biskupa trzymał go w swoim zarządzie prawie do roku 1772.

Sprawa zwrotu ratusza miastu została załatwiona definitywnie dopiero w 1789 roku, kiedy po śmierci Idziego, jego syn Michał Fihauser złożył w Cyrkule Sądeckim oświadczenie: „Niżej na podpisie wyrażony daję to oświadczenie Miastu Muszynie w Cyrkule Sądeckim sytuowanym, iż ratusz na własnym placu jest postawiony, a to dopiero po pierwszym pogorzeniu miasta, przed którym ich szynk i impadykacya była mieszczanom muszyńskim oddaję i zwracam...”

Ratusz, który odbudował Idzi Fihauser - jak się później okazało, ostatni starosta na Muszynie - przetrwał do roku 1916, kiedy to został rozebrany. Dlaczego to nastąpiło - nie wiadomo. Może budynek był w tak złym stanie, że nie nadawał się do remontu? Zachowało się stare zdjęcie ratusza z 1912 roku, a więc na cztery lata przed jego „zagładą”.



Muszyński Rynek z ratuszem (po prawej stronie). Poczłówka z około 1910 roku
(ze zbiorów *Almanachu Muszyny*).

Wiadomo, że za czasów galicyjskich w budynku ratusza obok karczmy mieściło się „biuro” burmistrza i obradowała w nim Rada Miejska. Po roku 1914/15 władze miasta przeniosły się do tzw. „Starej Gminy”.

STARA GMINA stała w miejscu, gdzie dziś znajduje się kino „Baszta” i ma swoje lokum Ochotnicza Straż Pożarna. Ten to budynek naszkicował Jan Matejko, kiedy był w Muszynie. Zafascynowały go oryginalne podcienia - okapy - bogato rzeźbione.

W Starej Gminie odbywały się posiedzenia Rady Miejskiej. Wiemy, że w obszernej „substancyi” (sali) mieścił się duży stół, a wokół niego 24 krzesła dla radnych i stary rzeźbiony fotel dla burmistrza. Dwa okna z podwójnymi skrzydłami wychodziły na Rynek. Z szerokiej sieni wchodziło się po jednej stronie do „substancyi Rady”, podczas gdy po drugiej stronie miała miejsce służbówka akuszerki miejskiej, którą w latach międzywojennych - po „babce” Świderskiej - była Maria z Kmiotowiczów Pitalowa, zwana powszechnie w miasteczku Merką.



Budynek Starej Gminy (reprodukcja rysunku Jana Matejki).

Stara Gmina (Nr 10) spłonęła doszczętnie „23 września 1927 r. w pożarze, który wybuchł wieczorem o 8,30 przez nieostrożność w mieszkaniu pod Nr 14”. Pożar strawił północno-zachodnią stronę Rynku, „bowiem wiał silny wiatr od kościoła, a lato było suche”.

Zachowało się znacznie więcej fotografii, a także rysunków domów, których już nie ma. Oglądając je słyszymy niemalże, jak dawni, dumni ze swych domów właściciele mówią nam: „choć nas już nie ma, a nawet nie ma naszych domów, jesteśmy z wami i trwamy, przerzucając mosty między historią a waszym czasem”. I jest to piękne, że ciągłość czasu i tradycji potrafi do nas przemówić ze starych zdjęć, dokumentów i wspomnień...

Od redakcji:

Opowieść o starych domach, których już nie ma, Witt Kmiotowicz podejmie w kolejnych rocznikach Almanachu Muszyny.